MAGAZYN MIŁOŚNIKÓW KULTURY MORZA

Shantyman

NR 1/2020 (29)

ROZMOWA Z...
Markiem Szurawskim

RELACJE
RECENZJE
ZAPOWIEDZI

oraz
FESTIWALOWA GAZETA

Sponsor wydania:
QNT www.qnt.pl Systemy Informatyczne

szanty24.pl

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY | ISSN 2658-2945

TOLKMICKO ZAPRASZA

znajdziesz nas na f

V Festiwal Piosenki Żeglarskiej „Szanty nad Zalewem"

QNT
www.qnt.pl
Systemy Informatyczne

Zawsze w parze:
dobra muzyka i informatyka
Sponsor płyty winylowej zespołu folkowo-szantowego **Sąsiedzi**

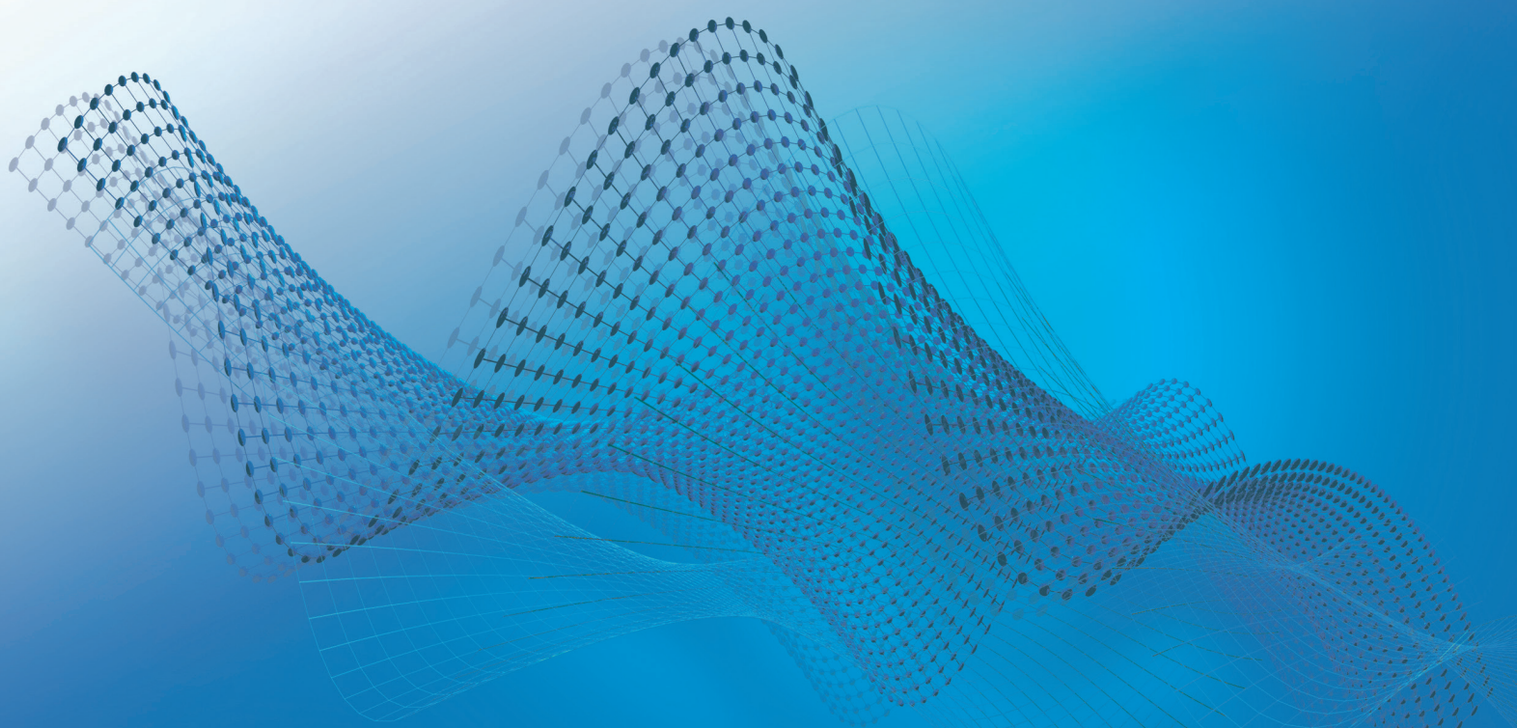

All hands on deck!

Szanowni Czytelnicy. Do rąk waszych trafia właśnie pierwszy numer (po latach przerwy) nowego **Magazynu Miłośników Kultury Morza „Shantyman”**. Nie mylą się ci, którzy kojarzą „Shantymana” z Magazynem „Szantymaniak”, nieistniejącym już papierowym „bratem” portalu o tej samej nazwie, który wydawałem w „lepszych czasach”, jeszcze pod szyldem własnej firmy. Shantyman jest jego bezpośrednim spadkobiercą, jego kontynuacją. Zmieniła się co prawda nazwa, wygląd, format, wreszcie wydawca – ale to nadal ten sam magazyn i niemal ci sami ludzie, te same tematy, ta sama potrzeba śledzenia i opisywania i przede wszystkim promowania tradycyjnego folku morskiego oraz współczesnej piosenki żeglarskiej, ta sama potrzeba uchronienia od zapomnienia kultury, tradycji, historii, które odeszły wraz z dziewiętnastowiecznymi klipramі, ta sama potrzeba dzielenia się z innymi wiedzą, informacjami, pomysłami, ta sama potrzeba promowania tej niszowej, ale jakże ważnej dla wielu muzyki i kultury. I wreszcie ta sama, nieustająca pasja do wydawania czasopism. Mimo wszechobecnej elektronizacji naszego świata – nadal uważam, że papier jest ważny, że papier doskonale uzupełnia komunikację elektroniczną, że papier jest cierpliwy, że wymaga skondensowanej myśli, konkretu, wiedzy, to nie miejsce na lanie wody (nomen omen :D). Dlatego wydaje mi się...

Dlaczego Shantyman? Bo to chyba najlepszy symbol morskiej kultury, postać, która łączyła na dawnych pokładach dwa światy – świat pracy i świat rozrywki. Z jednej strony manager, zarządzający tempem i rytmem prac załogi, mobilizujący do wysiłku, do jeszcze jednego szarpnięcia lin, naparcia na kabestan, pchnięcia pompy, z drugiej chodzące archiwum marynarskich historii, przygód, legend, wspomnień, przytaczający obraz rodzinnego domu, ukochanej, rodziny, pozostawionych gdzieś daleko, czy rozładowujący gniew na bosmana, kapitana, innych marynarzy, obśmiewając ich w szantach.

Taki będzie właśnie nasz Shantyman, dwojaki, trochę współczesny, trochę tradycyjny. Będzie opowiadał o czasach minionych, przywoływał bitwy, legendy, znane postacie, ale też zapraszał na nadchodzące koncerty, festiwale, opowiadał o działających dziś wykonawcach i tych, których nie ma już na scenie, ale w jakiś sposób zostali zapamiętani.

Magazyn będzie docierał do Was na kilka sposobów. Po pierwsze będzie go można znaleźć na festiwalach (tak, jeszcze parę mamy, a i nowe się pojawiają), w tawernach, klubach (kilka nam zostało) i wszędzie tam, gdzie słychać tradycyjny folk morski (szanty, pieśni kubryku, pieśni wielorybnicze) i współczesną piosenkę żeglarską. Oczywiście, tak jak do tej pory Nasz magazyn będzie dostępny w sieci, w wersji elektronicznej – zarówno na issuu.com/folk24, jak i na stronie Wydawcy – Fundacji Folk24 (folk24.org). Możemy go także wysyłać pod wskazany adres (trzeba opłacić tylko koszt wysyłki).

A spotykamy się z Wami po raz pierwszy na dwóch największych polskich (i chyba nie tylko) festiwalach piosenki żeglarskiej pod dachem, czyli na 39 Międzynarodowym Festiwalu Piosenki Żeglarskiej „Shanties” w stolicy Małopolski, Krakowie oraz na 31 „Szantach we Wrocławiu” w stolicy Dolnego Śląska. Z tej okazji wpadliśmy na pomysł by w Shantymanie pojawiła się specjalna wkładka – „Gazeta Festiwalowa Shanties” (ta będzie w Krakowie) i Gazeta Festiwalowa „Szanty we Wrocławiu” (tę poczytacie we Wrocławiu). Skoro czytacie te słowa, to znak, że wszystko się udało i jest tak jak napisałem.

A co poza tym? To co zwykle, na razie mamy tylko 16 stron, więc za bardzo rozwinąć się nie mogliśmy, ale jest wywiad z naszym obecnie jedynym „eksportowym” szantymenem – Markiem Szurawskim. Wspominamy też tych, którzy odeszli w ub. roku: Rysia Wąsowicza z Męskiego Chóru Szantowego „Zawisza Czarny”, Jerzego Rogackiego z Czterech Refów i kapitana Andrzeja Mendygrała, wielkiego człowieka morza. Są recenzje ostatnio wydanych płyt i zapowiedzi kolejnych oraz kilka ciekawych opowieści z morzem w tle.

Liczę także na Wasze pomysły, propozycje, sugestie i... artykuły. Chciałbym, byśmy tworzyli ten tytuł razem, jak załoga. Zatem ogłaszam „All hands on deck!”, bo jest robota do zrobienia. Kto ma czas, ochotę by coś napisać, lub ogarnąć kolportaż, marketing, poprowadzić stronę internetową – przypomnę, że od 2012 roku Fundacja wydaje także serwis szanty24.pl, więc jest co robić.

W tym roku planujemy jeszcze jedno wydanie – wakacyjne. Gdybyście mogli pomóc – jak piszemy o tym tu: folk24.org/jak-nas-wpsierać/ – nie wahajcie się, każda rada, pomysł, polecenie czy złotówka się liczą.

Dziękuję bardzo tym wszystkim, którzy kupując reklamę wsparli wydanie tego numeru Shantymana: QNT Systemy Informatyczne, Maytur, Urząd Miasta Tolkmicko, Wydawnictwo SOL, Sail Shanties, Tawerna Gniazdo Piratów, Stowarzyszenie „Niech zabrzmi pieśń”, Polish-Canadian Yacht Club „Zawisza Czarny” oraz Szkocka Trupa, Motorowodni.pl i Fundacja Fabryka Rytmu. Dziękuję organizatorom feestiwalu „Shanties” – Fundacji HALS, oraz „Szant we Wrocławiu – Stowarzyszeniu Nasze Miasto Wrocław za życzliwość i zaufanie.
Bez Was by się to nie udało!

Zapraszam do lektury NASZEGO Shantymana.

Kamil Piotr Piotrowski,
Kraków-Wrocław, 10.02.2020

Magazyn Miłośników
Kultury Morza „Shantyman”
Nr 1/2020 (29)

Wydawca: Fundacja Folk24
Adres redakcji: 50-138 Wrocław,
ul. Kuźnicza 11-13
mail: fundacja@folk24.org

Redaktor naczelny:
Kamil Piotrowski
mail: red@szanty24.pl

Projekt: Robert Derda
DTP: MUZO Marcin Łęczycki
Autorzy: Magdalena Emka Borucka, Elżbieta Anna Kołodziejczyk, Katarzyna Wolnik-Sayna, Rafał „Taclem” Chojnacki, Michał Nowak, Jacek Reschke, Marek „Siurawa” Szurawski, Marek „Wiklina” Wikliński
Zdjęcia: Anna Szykiedans, Basia Wójcik, Jacek Reschke, Kajetan Sayna
Na okładce: Marek Szurawski
Numer zamknięto: 11.02.2020

Sponsor wydania:
QNT Systemy Informatyczne
(www.qnt.pl)

Partner wydania:
Maytur
maytur.com.pl

Panował fajny entuzjazm

Rozmowa i zdjęcia: Kamil Piotr Piotrowski (Folk24/A-Press)

Rozmowa z Markiem Szurawskim, dziennikarzem, trenerem pamięci, szantymenem, współzałożycielem zespołu Stare Dzwony.

Za Tobą i przyjaciółmi z zespołu czterdzieści lat na scenie – gratuluję! Jak to się wszystko zaczęło, skąd się wzięła ta muzyka morza, co było pierwsze, pieśni morza czy żagle, pływanie czy śpiewanie?

Zależy jak na to popatrzeć, z której strony. Śpiew sam w sobie jako uporządkowana sekwencja dźwięków, jaką człowiek wydaje, czy wydawał wzięła się myślę równolegle z narodzinami człowieka. Natomiast ta muzyka dawnego pokładu, szanta, pieśń kubryku – mówimy tu o klasyce – to w ich przypadku najpierw chyba było pływanie.

A w twoim wypadku?

W moim wypadku rzecz się działa chyba równolegle... chociaż... jeśli chodzi o samą muzykę morza, to wzięła się ona u mnie z żeglarstwa. Lata to były dosyć odległe, bo zainteresowałem się tematem na początku lat sześćdziesiątych ub. wieku. Gdy zacząłem się już pojawiać pod żaglami, na Mazurach czy na morzu, wtedy zetknąłem się z piosenką żeglarską.

Miałeś wcześniejsze doświadczenia muzyczne?

Tak. Mój dom rodzinny był muzyczny, ja też muzykowałem trochę. Przez wiele lat uczyłem się grać na pianinie, więc miałem podstawy muzyki w sobie, a w Warszawie, na studiach, zainteresowałem się gitarą. Morskie pieśni trafiły do mnie przez żeglarstwo. Tam, gdzie się pływało, także się śpiewało. To były fajne teksty, fajne piosenki, spodobały mi się.

Czyli najpierw była piosenka?

Tak. Zdobyłem pierwsze śpiewniki. I ten pierwszy etap, zabawy, wchodzenia w środowisko, poznawania tego nurtu trwał do momentu, gdy dotarło do mnie, że jest coś takiego, jak szanta, czyli marynarska pieśń pracy.

Jak dawne pieśni morza trafiły do Ciebie?

Ogromną rolę odegrał tu Jerzy Wadowski, ówczesny sekretarz redakcji miesięcznika „Morze", który miał wtedy największą kolekcję płyt winylowych z muzyką morza. Wadowski był w Stanach i Kanadzie. Przez jakiś czas pracował w sklepie muzycznym i miał okazję posłuchać tej muzyki. Przywiózł do Polski co ciekawsze wykonania. Nie pamiętam jak to się stało, że Wadowski udostępnił nam część tych zbiorów...

Nam?

Starym Dzwonom. I mam tu na myśli jeszcze nasze początki w składzie Jurek Porębski, Rysiu Muzaj, ja, Mirek Peszkowski, a wcześniej jeszcze Aldek Długosz. Próbowaliśmy coś w temacie szant robić, a dzięki kolekcji Jurka poznaliśmy oryginały i zachwyciliśmy się tą prawdziwą, pełnokrwistą pieśnią morza, która dotarła do nas w najlepszym wydaniu, grup z Anglii, Francji, Ameryki. Poszliśmy po najmniejszej linii oporu i staraliśmy się, co było naturalne i oczywiste, to jak najwierniej skopiować.

Opowiedz jak doszło do spotkania Starych Dzwonów?

Też trochę przez przypadek. Ja oczywiście trochę już grałem i śpiewałem, ale o wiele intensywniej robili to Jurek Porębski i Rysiek

Muzaj. Peszkowski też się gdzieś tam przy tym pojawiał, jeszcze jako student szkoły morskiej, Aldek również się objawiał ale bardziej towarzysko, niż muzycznie. I w pewnym momencie to towarzystwo spotkało się na Mazurach. Taki zbieg okoliczności.

Nie znaliście się wcześniej?
Każdy o każdym słyszał, ale nie było dotąd okazji do bezpośredniego spotkania.

A jak już do tego spotkania doszło...?
To fajnie było. Wspólne rozmowy, śpiewanie, poznawanie się nawzajem... Pamiętam jak Jurek uważnie śledził jak gra Muzaj, jak łapie te swoje „dziwne" akordy. My z kolei patrzyliśmy na Jurka, bo wtedy już był znany jako znakomity tekściarz i muzyk. Mirka z kolei podziwialiśmy z racji, że w ogóle już pływał po morzu. I wszyscy razem mieliśmy już na koncie jakieś festiwale... Nie zapadła wtedy jakaś wiążąca decyzja, że zakładamy zespół, tylko, że próbujemy coś zrobić razem.

To kiedy pojawiła się nazwa Stare Dzwony?
Wiesz, do tej pory nie mam pojęcia kto wymyślił tę absurdalną wtedy nazwę (śmiech). Po prostu nie pamiętam sytuacji. Zostało oczywiście i teraz ma już jakiś sens, ale wtedy... (śmiech).

To musiały być bardzo fajne, luźne czasy?
O tak! Pamiętam, że panował wśród nas taki fajny entuzjazm do tego, by stare rzeczy robić klasycznie, i co ciekawe, nikt na siłę nie chciał prezentować swoich utworów – bo jak wspomniałem i Rysiek i Jurek mieli już na koncie sporo swoich piosenek – tylko zgodnie uznaliśmy, że szanty to jest to, czym się razem będziemy zajmować. Była taka cudowna zgodność celów.

Która zawiodła Was nie tylko na festiwale ale do mediów...
Któregoś razu Jurek Woźniak, też już nieżyjący, nagrał nas po dwóch, czy trzech latach od powstania Starych Dzwonów, gdzieś na Mazurach do „programu szantowego". Pamiętam do tej pory, jak wtedy na omedze śpiewaliśmy szanty! Wyobraź sobie (śmiech). Została nam z tego kaseta VHS.

Ale te nasze wersje szant, bliskie oryginałowi sprawdziły się, bo jeszcze później, filmowiec i reżyser Andrzej Radomiński zrealizował z naszym udziałem już film o szantach w ogóle i rodzącym się wówczas polskim środowisku szantowym pt. „A wiatr na wantach melodię gra"*. Film dostał nawet jakieś nagrody na kilku festiwalach.

W tamtych, komunistycznych czasach nie łatwo było wyjechać za żelazną kurtynę. Pamiętasz, który festiwal był tym waszym pierwszym zagranicznym?
Oczywiście, a historia ta wiąże się nierozerwalnie z Januszem Sikorskim, też już nieżyjącym, który zaproponował mi współpracę w Rozgłośni Harcerskiej przy realizacji swojego programu „Kliper siedmiu mórz". Bywałem tam często i tam, na biurku znalazłem raz – też ani Janusz, ani ja nie mieliśmy pojęcia, kto go tam położył – informator po angielsku o festiwalu w Liverpoolu. Na jego końcu była m.in. informacja, że jeśli interesujesz się szantami, śpiewasz szanty, to koniecznie się skontaktuj. Niewiele myśląc zadzwoniłem do Liverpoolu...

I dodzwoniłeś się?!
Wyobraź sobie, że tak! Trafiłem wtedy na Tony'ego Davisa (z zespołu The Spinners – przyp. red.), który po paru latach dopiero przyznał nam się – sukin kot (śmiech) – że jak wtedy usłyszeli szanty po polsku, to pokładali się ze śmiechu... Ale wtedy, niczego nie podejrzewając, wysłałem mu kasetę VHS (tę z programem Jurka Woźniaka) i oni zobaczyli, że faktycznie Polacy śpiewają ich tradycyjne pieśni, uznali to chyba ostatecznie za ciekawostkę i zaprosili nas do Liverpoolu.

I znaleźliście się w szantymeńskim raju, wśród samych mistrzów gatunku, z legendarnym Stanem Hugillem na czele. Pamiętasz swoje wrażenia z tamtego pobytu?
To było niesłychanie znaczące spotkanie. Dla mnie to było ogromne przeżycie, bo patrzyłem z podziwem tam na pewnego starszego pana – legendę tego ruchu – Stana Hugilla, którego traktowaliśmy jak Boga, a dla nich to był po prostu kolega. Na szczęście błyskawicznie się tam skumplowaliśmy, nadając na wspólnych falach z Anglikami. Zrobiliśmy też na nich dobre wrażenie, co sprawiło, że oni autentycznie zainteresowali się tymi naszymi szantami w Polsce. A już w zdumienie wprawiał ich fakt, że śpiewamy je w zimie, na festiwalu w Krakowie, 600 km od morza, na który przybywa tysiące młodych ludzi. To było dla nich coś niesamowitego. Na koniec naszego pobytu, po tych wszystkich rozmowach, śpiewaniach Anglicy zaproponowali, że oni bardzo chętnie przyjadą do Krakowa. Pamiętaj to był 1985 rok. Powiedzieli, że nie chcą żadnych pieniędzy, przyjadą na swój koszt, byleśmy im i żonom zapewnili tylko pobyt. I tak się stało...

A jak wspominasz swoje pierwsze kontakty ze Stanem Hugillem?
Wtedy podczas naszego wyjazdu do Liverpoolu, był dla mnie początkowo kimś nieosiągalnym, a okazało się, że to normalny gość. Nie pamiętam czy już napisałem, czy byłem w trakcie pisania mojej książki „Szanty i szantymeni", a w niej czerpałem z jego cytatów, wiedzy.

Bardzo przychylnie się do tego odnosił i nasze kolejne spotkania to było takie fajne budowanie więzi, najpierw koleżeńskiej, później bliższej, nici wręcz sympatii. Zmarł za wcześnie i ta nasza znajomość była za krótka, by mówić o przyjaźni, ale niewątpliwie darzyliśmy się szacunkiem i sympatią. Dla mnie zawsze pozostanie wartościowym człowiekiem, wzorem erudyty. A gdy jeszcze odsłonił mi wiele faktów ze swej biografii, to do dziś nie mam wątpliwości, że powinien być wzorem do naśladowania dla innych.

Stare Dzwony dla mojego pokolenia i młodszych są od zawsze legendą tej sceny, zespołem kultowym niemalże. Czy wy czuliście to, że jesteście prekursorami, że niesiecie kaganek szantowej oświaty, że jesteście niejako odpowiedzialni za to, w którą stronę ta scena pójdzie i poszła?
Nie. Nikt tego nie planował, nikt nie zabiegał o uznanie. Nigdy. Ja, i wiem, że moi koledzy też, nigdy tak do tego naszego śpiewania i grania nie podchodziliśmy. I to od początku. Raczej to było na zasadzie, ja to teraz tak nazywam, jakbyśmy tańczyli swój taniec, bawiąc się tym bardziej prywatnie, występując dla przyjaciół, robiąc przyjemność innym i sobie. Albo się to komuś podobało, albo nie.

Ale bywaliście jurorami, przecieraliście innym szlaki, wprowadzaliście na scenę przeboje, bywaliście wśród „wielkich" tej sceny, organizowaliście liczne festiwale, nagraliście pierwszą płytę winylową, a nie dawno pierwszą koncer-

towa płytę DVD na tej scenie. No nie czujecie tej... wielkości, wyjątkowości, sławy, że wreszcie to powiem?

Nie. Przecież nikt z nas nie dążył do tego. To się po prostu działo. Do tej pory uważam za uśmiech losu, że dane mi było wtedy spotkać chłopaków. I z tymi, którzy odeszli, jak i z tymi, którzy przyszli po nich, więzy przyjaźni są naprawdę mocne. Oni więcej grają, ja mam z kolei inne działania zawodowe, chociaż muzyka jest mi szalenie bliska i jak jedziemy gdzieś na jakiś koncert to dla mnie jest to kapitalny odpoczynek. Mnie się z nimi dobrze przebywa nie tylko na scenie, ale i poza nią. Jest ten luz, jest takie doładowanie wzajemne energią. I jeszcze raz podkreślę, nikt z nas nie dążył, ani nawet nie przypuszczał, że z takiej prywatnej zabawy powstanie coś takiego jak Stare Dzwony czy nawet poważna scena szantowa. A to, że nazywają nas liderami, mistrzami, legendą, to bardzo miłe i rodzi satysfakcję, ale w niczym nas to nie zmienia.

A twoje odkrycie szantowe, muzyczne. Chodzi mi o ten moment, poczucie, że oto coś się udało, gdy pada „mam to!", „to jest to!"...

Może jakiś udany tekst, który udało mi się przetłumaczyć był dla mnie momentem satysfakcji. Tak. Tu było kilka nawet takich momentów, na przykład przy „Lowlands Low", gdy znalazłem klucz i ta historia sama mnie poniosła. Lubię „Śmiałego harpunnika", bo to była w ogóle pierwsza pieśń, którą przetłumaczyłem. No i z pewnością, to o czym mówisz pojawiało się, gdy docierałem do źródła fabuły jakiejś szanty. Zawsze czułem dużą ekscytację, gdy od nazwisk kapitanów, nazw statków, portów, których pełno było w szantach i pieśniach kubryku, docierałem, wertując strony angielskich czy amerykańskich książek, do ich prawdziwych historii, poznawałem ich dalsze losy, zgłębiałem marynarski rytuał. Czytając o tym nagle odkrywałem taki świat, który wciągał, który pasjonował. Tymi opowieściami mogłem się potem dzielić ze słuchaczami w audycjach, widzami na koncertach czy czytelnikami w książkach. To odkrywanie marynarskiej prawdy pasjonuje mnie do dzisiaj i widzę, że te moje opowieści są też wciągające dla ludzi, ale też i dla mnie ciekawe przypomnienie.

Co ciekawe, jeśli chodzi o tę szeroko rozumianą kulturę muzyczną ludzi morza czy dawnego pokładu, to jedną z najważniejszych dla mnie rzeczy jeśli chodzi o klasykę szantową czy pieśni kubryku, to to, że jeśli tam jest jakaś fabuła, i o tym piszę, to to się działo naprawdę. To nie są wymyślone historyjki. I nawet, gdy po raz tysięczny śpiewam „Rio Grande", to wiem, że odtwarzam czas i emocję, jakie towarzyszyły wtedy tamtym ludziom, co mnie wzbogaca, a jeśli widzę, że trafia to też do ludzi, to to jest taka wartość, która trwa i chyba nie zginie. Żyjemy przecież dla emocji.

To opowiedz mi jeszcze o pierwszej polskiej, winylowej płycie z pieśniami morza, którą nagraliście dawno temu. Jak powstawała ta płyta, skąd się wziął pomysł?

Jej nagranie to była propozycja Radomskiego Okręgu Żeglarskiego, a konkretnie od Romka Dąbrowskiego. Myśmy już mieli ten repertuar jakby osadzony, choć jak dziś słucham całości to Jezus Maria (śmiech).

Czy coś jeszcze ci się na tej płycie nie podoba?

Tak. Początek. Związane jest z tym niefortunne zdarzenie...

Zamieniam się w słuch...

Otóż, gdy już skończyliśmy nagrania wydarzył się nam niezbyt przyjemny wypadek. Może nie powinienem o tym mówić, ale co tam. Otóż, byliśmy po zakończeniach nagrań tak szczęśliwi, podekscytowani, że postanowiliśmy to uczcić. Nie natychmiast i nie doszczętnie, ale jednak trochę się wstawiliśmy, łącznie z realizatorami. Nie wiedzieliśmy tylko, że jeden z nich nie powinien pić alkoholu w ogóle, nic, a nic, a jednak trochę wypił i to wystarczyło. W trakcie tej celebracji, słuchaliśmy tego materiału cały czas, od nowa i od nowa i nagle, ten realizator tak nieszczęśliwie oparł się o stół mikserski, że skasował początek „Pożegnania Liverpoolu". Bezpowrotnie. Efekt tego słychać na płycie, tylko mało kto wie, że ten szum morza na początku, to nie zabieg artystyczny, tylko smutna konieczność przykrycia brakującego początku piosenki.

Pamiętam, że wytrzeźwieliśmy natychmiast, bo to zdarzenie, groziło nie tylko nagrywaniem całego „Liverpoolu" od nowa, ale jakimiś straszniejszymi konsekwencjami, kosztami. Romek był załamany, my też. Masakra! Na szczęście ktoś wpadł na ten pomysł z szumem morza i jakoś nam się udało.

Jurek Wadowski napisał tekst, powstała okładka, z tym moim nieszczęsnym zdjęciem, które z konieczności robiłem na Dworcu Centralnym w Warszawie w takiej kabince do zdjęć natychmiastowych. No i tak to się działo. Dziś wartość archiwalna jest niewątpliwie ogromna.

Na koniec powiedz kim są twoi klasycy gatunku, twoi mistrzowie?

Stormalong John – przez wiele lat wywoływali u mnie dreszcze. John Townley oczywiście. Mary Malloy i Stewart Frank, w duecie przepięknie śpiewali pieśni wielorybnicze. Bob Web, też głównie pieśni wielorybnicze. Nazywany przez nas „amerykańskim pająkiem", ze względu na sylwetkę, ale świetnie opowiadał i świetnie śpiewał – Bob Walser. Z zespołów był jeszcze Bristol Shantyman. I mówię tu cały czas o wykonawcach, na których ja się w jakimś sensie wychowałem czy wzorowałem.

Do Krakowa przyjeżdżają ostatnio znów ciekawi wykonawcy, Norwegowie czy Holendrzy, którzy widać i słychać, że wiedzą o co w tych szantach chodzi, bo potrafią huknąć tak, że z miejsca porywają publiczność

Dziękuję bardzo za rozmowę.

szanty24.pl

Pełny wywiad z Markiem, w tym m.in. wątki o słynnym „marszu śmierci" Anglików na „Shanties" czy o CD, na którym Marek opowiada historię Stana Hugilla znajdziecie w serwisie Szanty24.pl

Jędruś, Mędruś

Wspomina: *Katarzyna Wolnik-Sayna*
zdjęcie *arch. autorki*

Andrzej Mendygrał – oficer Polskiej Marynarki, jachtowy kapitan żeglugi wielkiej, 20 sierpnia 2019 r. odszedł na wieczną wachtę.
Kochałam tego faceta! Przyjaciel od zawsze. Bardzo często służył wiedzą, dobrym słowem przy realizacji moich audycji. Towarzyszyło mu cudne poczucie humoru.
Mało kto, tak pięknie umiał opowiadać o morzu, potrzebie pływania, tęsknocie i pokorze, którą trzeba mieć wobec żywiołu.
Przez lata jako praktyk, ale też dziennikarz, był ekspertem w wielu moich audycjach.
Specjalizował się w prowadzeniu żaglowców: dowodził brygantyną „Henryk Rutkowski", potem „Kapitan Głowacki", żaglowcem pasażerskim „Peace", kanadyjską „Concordią", żaglowcem badawczym PAN „Oceania" i wreszcie brygiem „Fryderyk Chopin". Wychował żeglarsko setki młodych ludzi. Tak go m.in. wspominali w moim reportażu:
– „Gdy Andrzej Mendygrał był na pokładzie to czuć było duszę tego statku i to mocno. Podobało mi się jego podejście do młodzieży. Był jajcarzem, ale i tak wszyscy czuli do niego respekt (...)"
– „Potrafił mocno dać w kość, ale zawsze potem potrafił pocieszyć".
– „On mi się kojarzy z akceptacją, z afirmacją życia. (...) Nie znam drugiej takiej osoby, która by tak bardzo kochała życie".
Autor ogromnej ilości polskich tekstów pieśni żeglarskich i szant, m.in. „Hiszpańskie dziewczyny", „Pod jodłą", „Few Days", „Branka", wykonywanych przez najbardziej znane zespoły z nurtu morskiego folku. To właśnie dzięki niemu „Hiszpańskie dziewczyny" zyskały u nas drugą młodość.

– „... jak już zemrę, to mam nadzieję, że te piosenki dalej będą śpiewane przez następne sto lat i w ten deseń jakoś przetrwam, nie?" Przetrwasz Jędruś, przetrwasz...

Całego reportażu Katarzyny Wolnik-Sayny pt. „Niech fale niosą jego pieśń" możecie wysłuchać tutaj:

Nadmorski felietonista-kronikarz

Wspomina: *Elżbieta Anna Kołodziejczyk*
Zdjęcie: *Anna Szykiedans*

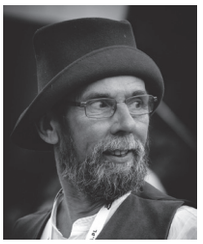

Zaskakująco wcześnie (miał zaledwie 72 lata), po walce z szybko postępującą chorobą nowotworową, 12 kwietnia ub. r. odszedł na wieczną wachtę **Ryszard Wąsowicz** – od wielu lat gdynianin, emerytowany komandor Marynarki Wojennej RP, jachtowy sternik morski, szantymen i szantymaniak w jednej osobie – pozostawiając po sobie trudną do wypełnienia pustkę w świecie miłośników szeroko pojętej piosenki żeglarskiej, i to po obu stronach sceny. Będąc bowiem przez wiele lat bywalcem festiwali i koncertów tego nurtu oraz uważnym słuchaczem, którego opinie cenili sobie sami wykonawcy, od 2012 roku zasilał również z powodzeniem szeregi Męskiego Chóru Szantowego „Zawisza Czarny" jako baryton oraz... felietonista-kronikarz licznych zespołowych dokonań, objawiając przy tym talent literacki i niezwykle lekkie, dowcipne pióro.
Z tych „chórowych opowieści" zebrała się cała książka pt. „Zza kulis. 5 lat Męskiego Chóru Szantowego „Zawisza Czarny" (2012–2016)", kilka tygodni po ukazaniu się innej, „Na wodzie i na brzegu. Opowieści z floty (i nie tylko)", gdzie w pełen humoru sposób opisał wiele nie zawsze wesołych wydarzeń z trudnych czasów swojej służby w armii (30 lat i 9 miesięcy), pokonując drogę od szeregowca z poboru do komandora. Pierwsza książka miała premierę na imprezie z okazji 70. urodzin – któż mógł wtedy przypuścić, że jego „żołnierski dowcip", przyjazne słowo i filuterny uśmiech tak niedługo już będą nas cieszyć...
Nazywałam go „Tatką Komandorem" – wraz z żoną Zosieńką byli mi „Nadmorskimi Rodzicami" w czasach działalności scenicznej Betty Blue, a także już po jej zawieszeniu. Ileż to godzin przegadanych, prześpiewanych wspólnie, ileż wspólnego milczenia na Orłowskim Klifie, na który z reguły wybierał się ze mną za każdym razem, kiedy przywiało mnie do Trójmiasta, znając moje zauroczenie tym miejscem.
Z ogromną wdzięcznością myślę o każdej chwili spędzonej z Nim czy to w okolicznościach okołoscenicznych, czy to prywatnie i towarzysko. DZIĘKUJĘ, RYSIU. Udanych rejsów po Bezmiarach Nieskończoności.

Od Daniela do kolorofonu

Wspomina: *Marek Wikliński*
zdjęcie *Basia Wójcik*

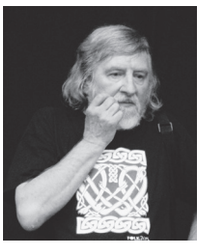

Podczas ubiegłorocznej edycji festiwalu „Tratwa" w Chorzowie, przypadł mi zaszczyt poprowadzenia wraz z Jerzym Ozaistem koncertu poświęconego pamięci Jerzego Rogackiego (odszedł do Hilo 9.08.2019 r). Czując wagę wydarzenia, przygotowywałem się do niego solidnie, obdzwaniając szantowych znajomych, szperając w necie, szukałem informacji, które pokazałyby tę nie żeglarską, nie szantową stronę lidera Czterech Refów. A to czego się doszukałem...
Może nie wszyscy wiedzą, że Jurek w liceum grał na gitarze w zespole bigbeatowym. Potem studia na Politechnice Łódzkiej. W tym czasie już zaczęło się kręcić śpiewanie szant, ponieważ mówią, że „nie samym chlebem żyje człowiek". No właśnie – co z tym chlebem?
Pamiętajmy, że lata 70-te w Polsce to może i schyłek sezonu socjalistycznego ale jeszcze ręczne sterowanie gospodarką ciągle było w mocy. Jurek zgodnie z ówczesnymi regulacjami odbywał praktyki w zakładach Unitra Fonica w Łodzi. Zatrudnił się w nich na stałe i pracował m.in. przy projektowaniu i rozwoju gramofonu Hi-Fi „DANIEL". Sprzęt miał bardzo wysokie oceny, a w krajach RWPG był wręcz tym z najwyższej półki (u nas dziś kultowy – przyp. red.). Zajęciem traktowanym wówczas jako dodatkowe było projektowanie urządzenia, które wiele lat później stało się jedną z „ikon PRL-u". Urządzeniem tym był popularny w latach 80. COLOROFON. Tak! Migające światełka podpinane w bardzo prosty sposób do każdego urządzenia z wyjściem głośnikowym były owocem pracy Jurka Rogackiego. Całe rzesze, a nawet pokolenia, w tym ja, zawdzięczają mu morze wzruszeń, zaś dzisiejsi kolekcjonerzy przepatrują internet w poszukiwaniu działających egzemplarzy tego „PRL-home-disco" – cudeńka. Na wspomnianej „Tratwie" mieliśmy okazję sprawdzić jego działanie w praktyce. Kolorofon, z prawdziwą werwą mrugał do śpiewanych szant. Jurek byłby dumny.

Przeczytaj też wspomnienie o „Rogatym" pt. „Dziewiątego sierpnia dwa tysiące dziewiętnastego roku" autorstwa Jerzego Ozaista na łamach Szanty24.pl

Przegląd konkursowy shanties 2020

Klub Żaczek, 1 lutego

zdj. Kamil Piotr Piotrowski (Folk24/A-Press)

Fucus

Czwarta Wachta

Dziewanna

Marta Kania

Marta Kania i Michał Czachowski

Abordaż

Czwarta Wachta

Jacek Zieliński

Jack Sparrow

Grzegorz Janczak z Piotrem Czyżowskim

Stare Wraki

Jack Sparrow

Polsko-Kanadyjski Klub Żeglarski
„Zawisza Czarny”
w Hamilton
– współfundator
Nagrody Specjalnej
Shanties 2020

piosenka żeglarska | szanty | ballada morska | folk

SZKOCKATRUPA (opcja bytomska)

w składzie:

Henryk Czekała „Szkot” *– śpiew, gitara*
Jacek Kądziołka *– bas, chórki*
Kamil Piotr Piotrowski *– mandolina, chórki*

w programie „Moje ukochane...” piosenki

www.folk24.pl/wykonawcy/szkocka-trupa

tel. 516 067 476 Kamil | tel. 602 623 602 Szkot

PIERWSZY SZANTOWY WINYL W POLSCE

W LATACH 20.

PREMIERA WIOSNĄ 2020 R

SĄSIEDZI *„W kieszeni dolar”*

NR KAT. LP001 FOLK24

ZAMÓW TERAZ
PREORDER
DLA PIERWSZYCH
100 ZAMÓWIEŃ
PŁYTA CD GRATIS

55 zł

WYDAWCA FUNDACJA FOLK24
TEL. 516 067 476 | FUNDACJA@FOLK24.ORG

FUNDACJA FOLK24

WWW.FOLK24.ORG

MUZYKA CZTERECH STRON ŚWIATA

„Jeszcze zatańczymy"

Mietek Folk Olsztyn
Fundacja HALS, 2019

Poprzednia płyta zespołu Mietek Folk ukazała się 15 lat temu, na dodatek był to album koncertowy, prezentujący głównie nowe aranżacje starych piosenek grupy. W rzeczywistości na premierowe utwory musieliśmy czekać, jeszcze dłużej bo aż 20 lat. Wiele się w tym czasie zmieniło, począwszy od składu, aż po nazwę zespołu. Obecnie nagrywają i koncertują jako Mietek Folk Olsztyn. Album „Jeszcze zatańczymy" jest pierwszym wydawnictwem zarejestrowanym pod tym szyldem.

Zmieniła się również muzyka, którą prezentowała grupa. Zaczynali od radosnych i romantycznych piosenek o piratach. Później było zadziorne folk-rockowe granie, z tekstami o tematyce morskiej, również nie stroniącymi od pirackich przygód. W nowej odsłonie pojawiają się wprawdzie próby nawiązania do tematyki pirackiej (np. „Modlitwa bukaniera"), jednak dominuje morze w trochę innych odsłonach.

Otwierająca płytę piosenka „Moje nogi", w której pojawia się melodia przypominająca pewną znaną szantę (prawdziwą szantę, ciekawe czy zgadniecie, którą), to jeszcze „stary" Mietek – zadziorny, ze stadionowymi chórkami. Za to kolejna „Penelopa" to już przejaw bardziej balladowego, spokojniejszego grania. Oczywiście wcześniej zespołowi też się już takie klimaty zdarzały, jednak „Modlitwa bukaniera" i kolejne utwory, pod względem muzycznym to już zupełnie coś innego. Jest grzecznie, trochę zachowawczo, nawet solówki gitarowe odnalezionego po latach Piotra Szymańskiego, który powrócił do zespołu, są ułożone tak precyzyjnie, że można je uznać za przewidywalne. Niby jest to wciąż folk-rock, dalej śpiewa się o żeglarskich przygodach, a jednak brzmi to jakby muzycy mieli już dość piosenkowych galopad, które stały się wyznacznikiem ich stylu. Trochę tego „dawnego" Mietka znajdziemy jeszcze w „Ostatnim kursie" i w „Toaście 3", jednak większość piosenek sprawia wrażenie, jakby wykonywał je zupełnie inny zespół.

W zależności od nastroju, można uznać, że to najbardziej dojrzała płyta zespołu, lub że wiek już nie ten, by komponować kolejne skoczne galopady. Która z tych wersji jest prawdziwsza? Do tego już musicie przekonać się osobiście, wsłuchując się w „Jeszcze zatańczymy".

Rafał Chojnacki

„Break Yer Bones"

Męski Chór Szantowy „Zawisza Czarny"
Fundacja HALS, 2019

To zdecydowanie moja ulubiona zawiszowa płyta. Już piękna okładka „Break Yer Bones" stanowi preludium do tego, co czeka nas po odpaleniu tej najbardziej przestrzennej z trzech dotąd wydanych przez Chór „Zawisza Czarny". Ma się wrażenie jakby słuchało się chóru na żywo, siedząc przed nim w absolutnej ciszy. Wręcz namacalnie czuć ten entuzjazm i naturalność chłopaków.

Płyta, nad której ostatecznym brzmieniem czuwał Igor Budaj, łączy w sobie wykonania a'cappella z tymi z akompaniamentem – dodajmy coraz bogatszego instrumentarium. Są tu utwory dobrze znane i te zupełnie nowe, odnalezione przez chórzystów w szantowych archiwach. Zaskoczyła mnie ich kolejność na płycie.

Wita nas gromkie „Chłopcy ahoj", rozwijające się z jednego w cały wachlarz występujących w chórze głosów. Przez atmosferę tajemniczości i niepokoju prowadzi nas tytułowy „Break Yer Bones", a „Ostatni wieloryb" skłania nie tylko do rozmyślań o kresie życia tych olbrzymów. Patos, dostojność, rzewne dźwięki poruszają do głębi, ale jest też miejsce na krotochwilę, zabawę przy „Liverpool Judies" czy kończącej płytę szancie „Rosie, O!", z istnie tawernianą atmosferą w tle. Słyszymy też m.in. „High Barbaree" w tłumaczeniu śp. Jerzego Rogackiego, a skoro o przekładach mowa, warto także wspomnieć o tych w wykonaniu chórzysty Wojtka Szafrańskiego („Liverpool Judies", „Walk Me Along, Johny" i „Dreadnought"). Nie umyka też uwadze nowy na płycie, ale nie w chórze, głos Arka Panasiuka, występującego tu aż dwukrotnie w roli szantymena („Okrętnicy" i „Rio Grande").

W tym prawdziwym rollercoasterze nastrojów to jednak „Giant" i wspomniany już „Dreadnought" stały się tymi, które wciąż odtwarzam bez końca. Równie cudownie brzmią na płycie jak i na koncercie. Aż dziw, że to nie „Giant" stanowi kanwę, na której utkano tę płytę, bo trudno nie zachwycić się zawiszową interpretacją kompozycji Stana Rogersa, w której napięcie rośnie, tajemnica otacza każdy dźwięk, a wtórujący soliście, Krzyśkowi Jurkiewiczowi chór po prostu miażdży mocą.

Trzecia w dorobku Chóru płyta pokazuje jak bardzo „podopieczni" Jacka Jakubowskiego poszli naprzód. Wspomniani przez Rogersa Druidzi zdecydowanie czuwali nad „Break Yer Bones", bo „Zawisze" płyną z wiatrem i nie mają zamiaru refować żagli.

Magdalena Emka Borucka

„W kieszeni dolar"

Sąsiedzi
Fundacja Folk24, 2018

Co jakiś czas zdarza mi się wspominać złote dla szantowej fonografii lata 90., kiedy każdego roku na Mazurach zaopatrywałem się w kilka nowych kaset. Te czasy dawno minęły, nie oznacza to jednak, że ostatnią płytę Sąsiadów należy traktować zgodnie z regułą „na bezrybiu i rak ryba". O nie! To bezwzględnie najlepsza i najdojrzalsza z trzech płyt w dyskografii śląskiej kapeli.

Na „Dolarze" Sąsiedzi kontynuują drogę artystyczną, którą podążają od kilkunastu lat, ale i dorzucają nowe elementy. Jest tu jak zwykle sporo folku, tak irlandzkiego (dwie wiązanki instrumentalne i frywolny, otwierający krążek „Madam I'm a Darling"), jak i frankofońskiego (pochodzący z Quebecu utwór tytułowy, znane od wielu sezonów „Chłopaki z Seneville"). Bardzo mocnym elementem są szanty, zdecydowanie „nieosłuchane" do tej pory w Polsce (choćby rewelacyjna „Sun Down Below") albo też przypomniane po latach („Handy Me Boys" czy „Old Stormy"). Widać też lata podróży grupy po świecie – nazbierali całkiem sporo współczesnych ballad i stylizacji szantowych, które pokazują, że wbrew pozorom na świecie „w branży" wciąż trochę się dzieje. Nie brakuje intrygujących ciekawostek: „Dworskiego parobka" – ludowy utwór ze Śląska możemy potraktować jako bonus, ale już szantowy zaśpiew „Ar-lis", znany do tej pory chyba tylko z książki Marka Szurawskiego, doczekał się bodaj pierwszego utrwalenia. A sprawdza się i na płycie, i na koncertach. Sąsiedzi najlepiej wypadają w utworach a cappella – dysponują potężnym zestawem różnorodnych głosów, przez lata ćwiczeń doskonale „ustawionym" przez Dominikę Płonkę. Szanty w ich wykonaniu to klasa międzynarodowa. Kawałki instrumentalne grają oczywiście również bardzo poprawnie, ale tu rzecz jasna punkt odniesienia jest zupełnie inny – do folkowych supergwiazd z Wielkiej Brytanii, Irlandii, Francji i USA troszkę oczywiście brakuje. Nie każdy ma szansę urodzić się w miejscu, w którym oddycha się folkiem.

Wypada odnotować, że krążek jest bardzo ładnie wydany. Mamy książeczkę z tekstami utworów i paroma zdaniami opisu do każdego. To ważna rzecz – warto wiedzieć, co się śpiewa i czego się słucha. Trzeba życzyć Sąsiadom i całej naszej scenie żeglarskiej, by ta płyta była jaskółką odnowy, a nie łabędzim śpiewem. Jest jeszcze dużo do zagrania, zaśpiewania i… nagrania.

Michał Nowak

Powyższe płyty i inne znajdziecie na stoisku Fundacji HALS i w e-sklepie

sklep.hals.krakow.pl

Kubryk jednak będzie

Z Tomkiem Maraskiem, prezesem Stowarzyszenia „Niech zabrzmi pieśń” o przygotowaniach do 35 Łódzkich Spotkań z Piosenką Żeglarską „Kubryk”.

Rozmowa i zdjęcia: Kamil Piotr Piotrowski (Folk24/A-Press)

Co słychać w Łodzi?
Jeśli pytasz o miasto, to od pewnego czasu trwa mega rewitalizacja. Pięknieją kamienice, Piotrkowska odzyskała dawny blask. Obskurny jeszcze kilka lat temu dworzec Łódź Fabryczna wciąż pachnie nowością i robi na odwiedzających niesamowite wrażenie. Tuż obok dawna elektrociepłownia EC1 zaprasza do ogromnego planetarium i muzeum techniki. Od strony Piotrkowskiej przyjezdnych wita najnowsza z łódzkich atrakcji architektonicznych – Brama Miasta. Tuż za bramą wypiękniała też ulica Traugutta, a przy niej błyszczy zmodernizowany i odnowiony Łódzki Dom Kultury, gdzie – jak wiedzą wszyscy szantymaniacy – od wielu lat odbywały się Łódzkie Spotkania z Piosenką Żeglarską „Kubryk”.

Zatem powiedz co z kolejnym „Kubrykiem”?
Idąc za przykładem miasta my także staramy się zrewitalizować nasz festiwal. Wiadomo, okazja jest szczególna. Warto byłoby upamiętnić działalność inicjatora i głównego organizatora dotychczasowych 34 edycji.

Mówisz „my” czyli kto?
Stowarzyszenie pamięci Jerzego Rogackiego „Niech zabrzmi pieśń”.

Opowiedz o kulisach jego powstania
Pod koniec września ub.r. w pałacyku Łódzkiej Izby Lekarskiej Refy grały jeden z pierwszych koncertów bez Jurka. To nie był dla nikogo łatwy koncert. W czasie przerwy spotkaliśmy się w garderobie. Poza zespołem były tam Krystyna Rogacka, Anna Zakrzewska, Kasia Tomczyk i ktoś rzucił pytanie: co z Kubrykiem? Doszliśmy do wniosku, że dzieło, które Rogaty stworzył i realizował przez 34 lata nie powinno jeszcze przeminąć. Zaczęły się dyskusje dzieci we mgle...

I zabraliście się do pracy. Sporo było do zrobienia?
Długo by opowiadać. Żeby to jakoś streścić to minęliśmy kilka kamieni milowych. Pierwszym było spotkanie 3 listopada, podczas którego powołaliśmy Stowarzyszenie – do wymienionych wcześniej osób dołączyły kolejne, związane od dawna z Kubrykiem – Gosia Orłow, Maciek Rogacki i Piotr Grochowski, który jest prawnikiem i przeprowadził nas przez niezbędne procedury. Następnym kamieniem były łódzkie targi żeglarskie. Tam poznaliśmy Piotra Kulczyckiego, który jest armatorem STS „Fryderyk Chopin”. Bardzo zainteresował się naszymi planami i poświęcił nam wiele czasu. Myślę, że dzięki jego pomocy sprawy organizacyjne nabrały tempa. Kolejnym kamieniem była rejestracja Stowarzyszenia w KRS co miało miejsce 3 grudnia. Od tego momentu mogliśmy już oficjalnie szukać środków na Kubryk.

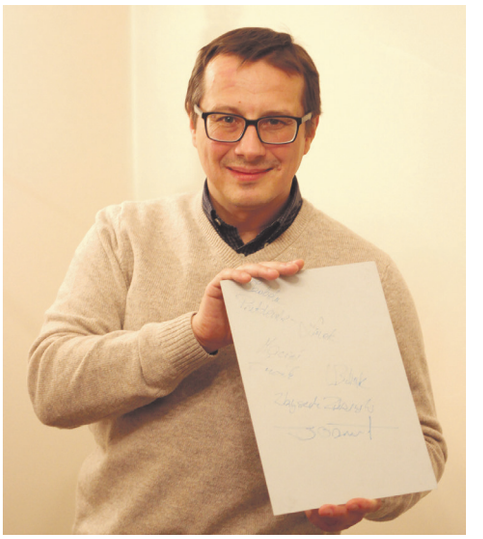

Jaki był plan działań?
Pan minimum był taki, żeby do końca stycznia uzbierać taki budżet, jakim Rogaty dysponował w ostatnich latach organizując festiwale. Z dumą musze powiedzieć, że to się udało. Na początku lutego, niecałe dwa miesiące od rejestracji stowarzyszenia, osiągnęliśmy ten chyba najważniejszy jak dotąd kamień milowy. Wiele pomogli fani festiwalu. Walka o tabliczkę z kubrykowej recepcji pozwoliła pozyskać więcej niż połowę niezbędnych środków. Kolejny kamień to umowa z Miastem Łódź, którą podpisaliśmy 5 lutego. Od tej chwili wiemy, że środków na zorganizowanie festiwalu wystarczy. Jeszcze zbieramy by zorganizować wszystko jak na jubileusz przystało ale wymówki, że Kubryku nie zrobimy bo nie ma środków już mieć nie możemy (śmiech).

Zatem czy możesz oficjalnie ogłosić już, że 8 i 9 maja odbędą się 35 Łódzkie Spotkania z Piosenką Żeglarską „Kubryk”?
Żeglarze łatwo nie pękają więc zapraszam do Łodzi, zobaczcie jak wyładniała.

Dziękuję za rozmowę.

Oby żyła wiecznie

A wszystko przez „dry ship”

Tekst: Marek „Siurawa” Szurawski | Zdjęcie: archiwum autora

Podczas międzynarodowych regat „Columbus” (to osobna opowieść), które odbywały się w 1992 r., John Townley, znany już w Polsce szantymen, posturą mniejszy od Muzaja, ale z zadziorną duszą, przyznał mi się do słabości do różnych alkoholi. Czasu już trochę minęło więc chyba mogę to opowiedzieć. Otóż na pokładzie Zawiszy Czarnego, ponieważ to jacht harcerski, nie było alkoholu. I gdy dołączył do nas John, cały czas pytał – co to znaczy, że to jest „dry ship”.

Gdy mu wyjaśniliśmy, to on zaproponował byśmy założyli organizację podziemną (sic!). John już bywał w Krakowie, więc dobrze się znaliśmy, a co wywołało wówczas ogromne poruszenie, to to, że miał ze sobą – przypominam był rok 1992 – laptopa (sic!!!), pierwszego, którego w życiu zobaczyłem. Wszyscy, łącznie z kapitanem, byliśmy pod wrażeniem, gdy on ten laptop otwierał i zaczynał coś w nim robić.

John pewnego dnia przysiadł więc za swoim laptopem i napisał statut naszej tajnej organizacji, w starym angielskim stylu. Wymyślił też nazwę... WRECK – World Rum Evangelical Congregation Cracov! Trudno wymyślić coś bardziej idiotycznego prawda? Według statutu Johna celem Kongregacji było sprawdzanie różnic w smaku między rumami francuskimi, a angielskimi. Tam gdzie była okazja, a okazji było mnóstwo, byliśmy przecież na Karaibach, testowaliśmy napitki. Oczywiście bez przesady, bo organizacja była, przypomnę podziemna i skutki nie mogły być dla niewtajemniczonych widoczne. To trwało miesiąc, a po powrocie – zdobyłem już komputer, nie taki co prawda jak Johna, ale jednak – John przesłał mi wszystko to, co napisał i to sobie żyło w moim komputerze życiem utajonym przez lat może osiem.

I nadszedł kolejny rejs

Rejs Zawiszą. Już wtedy miałem swojego laptopa. Z nudów zacząłem przeglądać pliki i – proszę, proszę – znalazłem plik „WRECK”. Pomyślałem, że może to przetłumaczę na polski. I wtedy, na tym rejsie nakreśliłem pierwszy projekt statutu, pierwsze działania. Wtedy też wymyśliliśmy sobie, choć brzmi to paradoksalnie i śmiesznie, że celem Kongregacji (oby żyła wiecznie) może być walka z alkoholizmem, poprzez odejście od nadmiaru picia wódy, piwa i typowego ochlaju, na rzecz smakowania. Rum bowiem, i to prawda klasyczna, jest podstawą do najsmakowitszych koktajli na świecie. Żaden inny alkohol tak się do tego nie nadaje. No i rzuciliśmy hasło szerszemu ogółowi, wymyśliliśmy dyplomy, legitymacje. Wszystko było nieformalne, na zasadzie zabawy, nic na siłę. I tak z roku na rok sobie rosło. Pojawiały się nowe pomysły – Andrzej Korycki na przykład stworzył chyba nieformalny hymn Kongregacji, czyli „Rum i coca-cola”. Było fajnie...

... ale czas luzu się skończył

Gdy doliczyliśmy się ponad tysiąca członków, to zrozumieliśmy, że zabawa, zabawą, ale tu nam się nagle stworzyło coś poważnego. Dwa, może trzy lata temu, zaczęliśmy się zastanawiać, czy może jednak Kongregacji nie sformalizować i nie powołać stowarzyszenia. Efekt jest taki, że dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, lub uporowi niektórych,

w dniu celebracji moich siedemdziesiątych urodzin, wylądował przede mną dokument rejestracyjny, w którym czytamy, że powołano Stowarzyszenie Miłośników Krzewienia Kultury Picia Rumu „Wrak”. Pozostał dawny cel, czyli walka z alkoholizmem, bo jakość, a nie ilość i pozostał symbol, który wymyślił jeszcze John Townley – przełamany na pół wrak z butelką rumu pośrodku. Jednym z nowych sloganów Kongregacji (oby żyła wiecznie) jest „Picie nie zwalnia cię od myślenia”, czyli pijesz, ale myśl nie tylko o sobie – mniej egoizmu, więcej empatii; przełamuj się, walcz ze słabościami, alkohol to nie lek na twoje problemy.

Po tylu latach

Mamy fajną grupę ludzi. Mamy sformalizowaną organizację, z legitymacjami, dyplomami, nawet już własnym Biuletynem i autorskim ceremoniałem przyjęcia do grona. Mamy jasny cel i mamy też już pewne tradycje i obyczaje. Najsympatyczniejsze chyba jest to, gdy na szkoleniach, które prowadzę, zupełnie nie związanych z żeglarstwem czy szantami, gdy wspominam ot tak nazwę Kongregacji, czasem nagle z tego anonimowego dla mnie tłumu pada: oby żyła wiecznie!

Do lektury książek pachnących morzem
zaprasza Wydawnictwo SOL

Szukaj w księgarniach internetowych i na stoisku Fundacji HALS

Marek Szurawski „Nie ma złych dni”

Katarzyna Wolnik-Sayna „Przez morze bez kapci”

Awanturniczy początek, pirackie życie, „ogień i miecz” na co dzień i bardzo moralny kres życia – obsypany zaszczytami szlachcic, dworzanin i gubernator. Piractwo nagrodzone? Cóż, nieraz tak bywa...

Król bukanierów

Henry Morgan (1635-1688)

Wspomnijmy dziś jedynego chyba tak uczciwego i porządnego pirata, to znaczy nie tak okrutnego i bezlitosnego, jak na pirata przystało (przynajmniej w porównaniu z takimi tuzami jak Czarnobrody, Bartolomeo Roberts, William Kidd czy „Perkalowy” Jack Rackham.

„Król Bukanierów”, jak go nazywano, czyli Henry Morgan, bo o nim mowa, urodził się w hrabstwie Monmouth w całkiem zamożnej rodzinie (jak widać dobry dom o przyszłości wcale nie decyduje...) i już jako młody chłopak wyjechał do pracy na plantacje Barbados, gdzie przez pięć lat służył u osadników, wyciskających zeń krwawe poty. Na Jamajce, dzięki protekcji krewniaka otrzymał dowództwo statku, co pozwoliło mu prowadzić pierwsze operacje, niestety o coraz bardziej podejrzanym charakterze. Takie było preludium dalszego, już zbójeckiego rzemiosła. Razem ze zgrają dowodzonych przez siebie piratów rozpoczął walkę z hiszpańską potęgą. Przez cztery lata terroryzował karaibskie osady, największą sławę zdobywając po splądrowaniu i spaleniu stolicy Panamy. Dowodził wtedy eskadrą 28 okrętów i ponad 1800 ludźmi. Wyprawa uczyniła go bogaczem i bohaterem, przynajmniej w oczach rodaków; Anglia pozostawała wtedy w narastającym konflikcie z Hiszpanią.

Wkrótce jednak z większością łupów porzucił swoich bukanierów i czekał na wezwanie do Londynu (i nie był to koniec braku jego lojalności). Początkowo, by załagodzić spór z Hiszpanią, król Karol II wtrącił go do lochu, ale zaraz potem dał mu tytuł szlachecki i jako wicegubernatora wysłał z powrotem na Jamajkę (polityka pozorów już wtedy była znana). Od tej pory Morgan zaciekle zwalczał bukanierów, aż do swojej naturalnej śmierci w 1688 r.

Spoczął na cmentarzu Palisados w Port-Royal na Jamajce. Cztery lata później w zadziwiający sposób ocean upomniał się o niego – gigantyczny przypływ wywołany trzęsieniem ziemi wymył wszystkich pogrzebanych na cmentarzu i szczątki kapitana Morgana zniknęły na zawsze w morskich głębinach.

Marek Szurawski

Szanty po polsku na Bora Bora

Oyster World Rally 2017-2019

Tekst i zdjęcia: Jacek Reschke

W roku 2017 wypłynęliśmy naszym jachtem, o pięknej nazwie „Shanties” w rejs dookoła świata, w ramach światowej, prestiżowej imprezy żeglarskiej Oyster World Rally 2017-2019. Na Polinezję Francuską przyjechała nowa załoga – grupa zaprzyjaźnionych architektów z Krakowa. Popłynęliśmy z nimi na najpiękniejszą wyspę świata – Bora Bora, gdzie organizatorzy OWR zorganizowali duże przyjęcie dla załóg wszystkich jachtów biorących udział w tym wydarzeniu (było ich razem około 30, z wielu krajów świata), a spotkanie odbyło się w najbardziej znanej na Bora Bora restauracji „Bloody Mary’s”.

Jako że nasz jacht nosił zobowiązującą nazwę „Shanties”, w części artystycznej wystąpiła z koncertem nasza załoga. Zaśpiewaliśmy najbardziej znane, polskie żeglarskie szlagiery, a w przerwach opowiadaliśmy skąd wzięła się nazwa naszego jachtu, oraz o tym, że to właśnie w Polsce, w Krakowie odbywa się największy festiwal piosenki żeglarskiej na świecie. W koncercie wystąpili Rober Kuzianik i Wiesiek Socha, członkowie krakowskiego zespołu „Stare Wraki”, a wspierały ich nasze dziewczyny.

Po jakimś czasie dołączyli do nich, już z tradycyjnymi szantami (bo głównie takie śpiewa się w innych krajach) żeglarze z innych jachtów, co dało początek fajnej, szantowej zabawie.

Jak się później okazało, był to prawdopodobnie pierwszy koncert szantowy na Bora Bora, a na pewno pierwszy z udziałem polskich wykonawców!

Z FESTIWALU „SHANTIES” NA POKŁAD s/y „SHANTIES”

Nasze dwa jachty o nazwie „Shanties” żeglują po świecie promując krakowski festiwal, fenomen ruchu szantowego w Polsce i dawne, marynarskie pieśni pracy – szanty.

Katamaran **Leopard 46 „Shanties”** pływa po Karaibach, a duży, piękny jacht **Oyster 56 „Shanties”** po trzech sezonach spędzonych na wyspach Południowego Pacyfiku będzie w tym roku pływał po Morzu Śródziemnym.

Jeśli chcielibyście z nami pożeglować, złapać chwilę oddechu, poznać nowe porty, zawiązać nowe przyjaźnie – serdecznie zapraszam na pokład.

Kpt. Jacek Reschke

www.sail-shanties.com,
www.rejsy-po-karaibach.pl

Uwaga:
Organizujemy również rejsy szantowe oraz rumowe we współpracy z Kongregacją Krzewienia Miłośników Kultury Picia Rumu „WRAK” (Oby Żyła Wiecznie!)

W Gnieździe Piratów

Warszawska tawerna zaprasza na koncerty mokrego folku: Mechanicy Shanty (21.02), Strefa Mocnych Wiatrów (23.02), Waldek Mieczkowski i Arek Wlizło (25.02), EKT Gdynia (13.03), Glassgo na Św. Patryka (14.03).
Info: gniazdopiratow.com.pl

W Starym Porcie Shanties

Każdy dzień festiwalu „Shanties” w Krakowie (20-23.02) będzie kończyć się tradycyjnie w tawernie Stary Port. Od czwartku do poniedziałku wystąpi tam większość wykonawców.
Info: staryport.krakow.pl

Szanty.PL

Fundacja Folk24 i wolontariusze zamierzają stworzyć na nieaktywnej obecnie domenie szanty.pl coś w rodzaju encyklopedii o polskiej scenie tradycyjnego folku morskiego i współczesnej piosence żeglarskiej. Wszystkich, którzy mogą pomóc prosimy o kontakt: red@szanty24.pl

Czy będzie ul. Szantowa?

Mają ją już m.in. Giżycko, Poznań, Świnoujście, Lusówko. Czy będzie kolejna? Inicjatywę taką do Rady Miasta Kędzierzyna-Koźla zgłosił Michał Nowak, kiedyś aktywny szantymaniak, dziś prężny samorządowiec. Jeśli 26.02 RM przegłosuje uchwałę, 14 marca, podczas Festiwalu „Szantki” portowa ulica w Koźlu stanie się Szantową. Trzymajcie kciuki.

Szanty we Wrocławiu

Na cztery dni zjadą nad Odrę szantymaniacy, na 31 „Szanty we Wrocławiu” (27.02-1.03). W programie czołówka polskiej sceny muzyki morza, jubileusze, koncerty wspomnieniowe i prezentacja wrocławskiej sceny „szantowej” w Starym Klasztorze i w Centrum A2. Program na www.szanty.com.pl

Na „Szantkach” w tym roku

Dwa dni koncertów zaplanowano na tegorocznej, 32 edycji Festiwalu „Szantki” w Kędzierzynie-Koźlu (13-14.03). W programie m.in. Cztery Refy, Mirek Kowalewski, Marek Szurawski, Ryszard Muzaj, Sąsiedzi, Klang, Roman Tkaczyk. Andrzej Korycki i Dominika Żukowska.

36 „Kopyść” będzie, z Konkursem

Po dramatycznym oświadczeniu organizatorów na początku roku o odwołaniu festiwalu, zrobił się szum w internecie. Jak się okazało znaleźli się przyjaciele, którzy wsparli groszem, by najstarszy festiwal w żeglarskiej Polsce mógł być kontynuowany, ale nadal są potrzebne fundusze. Zapraszamy do Białegostoku (17 – 18.04). Zgłoszenia do Konkursu do 15 marca. Więcej na kopysc.bialystok.pl

35 „Kubryk” też będzie

Nowe Stowarzyszenie w ciągu dwóch bez mała miesięcy, ciężką pracą, zdobyło środki na organizację 35 edycji „Kubryku”. Do Łodzi zapraszamy w dniach 8 i 9 maja. Więcej na stronie: niechzabrzmipiesn.org.pl (reklama na str. 15).

Pierwsza „Szanta biegnąca po falach”

Rodzi się nowy festiwal, w Rybniku. Pierwsza edycja (trzymamy kciuki by nie ostatnia) „Szanty biegnącej po falach” odbędzie się nad rzeką Rabą, 9 maja – więcej na FB wydarzenia.

szanty24.pl

Szanty (nie) w Operze

Ze względu na obchody jubileuszu Opery Śląskiej, nie udało się wcisnąć do kalendarza kolejnej edycji „Szant w Operze”. Dlatego gospodarze, zespół North Cape tym razem zapraszają (30.05), do Bytomskiego Centrum Kultury. W programie NC, Sąsiedzi, Andrzej Korycki i Dominika Żukowska.

Przybij piątkę w Tolkmicku

Widzów i konkursowiczów organizatorzy zapraszają na piątą edycję Festiwalu „Szanty nad Zalewem”, który odbędzie się w dniach 19-20 czerwca (zgłoszenia do konkursu tylko do 7.06). Szczegóły na FB wydarzenia (reklama str. 2).

SZKOŁA
ŻEGLARSKO-MOTOROWODNA
ZAPRASZA NA

KURSY:
ŻEGLARSKIE
MOTOROWODNE
RADIOOPERATORA SRC

REJSY:
MORSKIE
MAZURSKIE

WWW.FORDEK.PL
/szkola.motorowodna

Zapraszamy na

festiwal
35 Kubryk
pamięci Jerzego Rogackiego

XXXV Łódzkie Spotkania z Piosenką Żeglarską
2020
Kubryk

8-9 maja 2020, Łódź

www.festiwalkubryk.pl

projekt: Ula Kapała

Organizatorzy:
Stowarzyszenie pamięci Jerzego Rogackiego „Niech zabrzmi pieśń”,
Łódzki Dom Kultury, Radio Łódź, Cztery Refy

Partnerzy wspierający:
STS Fryderyk Chopin, Miasto Łódź, Veolia Energia Łódź S.A., Róża Wiatrów i inni

NAJSTARSZA W WARSZAWIE
TAWERNA ŻEGLARSKA

GNIAZDO PIRATÓW™

KONCERTY 7 DNI W TYGODNIU

WWW.GNIAZDOPIRATOW.COM.PL
WWW.FACEBOOK.COM/GNIAZDO.PIRATOW

f @mayturgliwice | @maytur_narty_żagle

MAYTUR
POLAND - GLIWICE

ORGANIZUJEMY:

- Kury żeglarskie i motorowodne:
  - żeglarz jachtowy
  - sternik morski
  - sternik motorowodny
  - SRC
- Kursy Instruktorskie PZŻ
- Obozy i rejsy dla dzieci, młodzieży i dorosłych
- Spotkania integracyjne w naszym ośrodku żeglarskim nad jeziorem Dzierżno Małe (Pyskowice, Nad Kanałem 5)

MAYTUR
Gliwice ul. Jasnogórska 9/323
+48692076607 +48606527608
www.maytur.com.pl

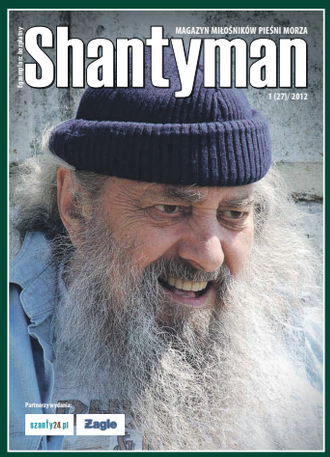

Możesz pomóc nam wydać kolejne numery...

FUNDACJA FOLK24

WWW.FOLK24.ORG

Zamów roczną prenumeratę ww. magazynów,
OPŁAĆ TYLKO koszt wysyłki.
Jeśli zrobisz to do końca maja br.
otrzymasz od nas oprócz
2 wydań Shantymana i 4 wydań FOLK24
dwie folkowe płyty CD.

MUZYKA CZTERECH STRON ŚWIATA

Napisz po szczegóły
fundacja@folk24.org
www.folk24.org